

Historia mojej walki z narkomanią

Moja historia z narkotykami zaczęła się w wieku 18 lat. Wówczas po raz pierwszy spróbowałem, i w krótkim czasie stałem się narkomanem. Dopiero dzisiaj zdaję sobie sprawę z tego, że narkomania ma swoją przyczynę w duchowej pustce, spowodowanej przez brak modlitwy, miłości i sensu życia, czyli przez brak szczerej wiary w Boga. Prawdziwe narkotyki, a więc proszki, pastylki czy "trawa" są tylko próbą wypełnienia duchowej pustki, spowodowanej przez brak otwarcia się na miłość Jezusa. Dzisiaj już wiem, że tę pustkę może zapełnić tylko Jezus Chrystus. Najgłębsze przyczyny narkomanii sięgają czasu mojego dzieciństwa. Wtedy pojawiły się pierwsze kłamstwa, kradzieże i lęki - wszystkie je bardzo dokładnie pamiętam.

Oszukiwałem swoich rodziców, aby ukryć prawdę o moim fatalnym zachowaniu w przedszkolu, czy później w szkole. Kłamałem, aby ukryć swoje złe zachowanie czy słabą ocenę, lub znaleźć wytłumaczenie, gdy wracałem do domu znacznie później, niż obiecałem rodzicom.

W dzieciństwie wykorzystywałem okresy, w których rodzice kłócili się, i potem przez jakiś czas ze sobą nie rozmawiali. Szybko zorientowałem się, że jest to doskonała okazja, aby zdobyć coś dla siebie. Prosiłem ojca, a on kupował mi różne zabawki i rzeczy, zabraniając mówić o tym mamie. Oczywiście potem prosiłem również mamę i znowu dostawałem to, co chciałem, pod warunkiem, że ojciec nie pozna "naszej" tajemnicy. Krótko mówiąc, dla osobistych korzyści posługiwałem się kłamstwem. Chciałem żyć łatwo i przyjemnie. Uciekałem od wszystkiego, co mogło wiązać się z trudem, ciężką pracą, wysiłkiem i cierpieniem.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę również z tego, że nasze życie rodzinne niszczyła telewizja, a to dlatego, że oglądaliśmy prawie wszystko: wojny, przygody Tony Halika, zamachy terrorystyczne, wiadomości sportowe itp. i dwa, trzy seriale dziennie. Telewizor był nieustannie włączony, i nawet gdy siedzieliśmy za stołem, to on był najważniejszy, a kiedy czasami mama zniecierpliwiona wyłączała go, następowała cisza tak straszna, że ciężko było mi wytrzymać. Dopiero dzisiaj rozumiem, jak fatalnie telewizja wpłynęła na nasze życie rodzinne.

Nie rozmawiałem z rodzicami o moich problemach i o moim życiu. Między nami nie było zaufania. Jeżeli zdarzyło się, że zaczęliśmy rozmawiać, to dialogi były pełne wzajemnych pretensji i złych emocji. Unikałem takich rozmów i izolowałem się w świecie muzyki i filmu. Będąc nastolatkiem, do domu wracałem coraz później. W wieku 17-18 lat dom rodziny stał się dla mnie hotelem, w którym tylko spałem, jadłem i dostawałem pieniądze.

Innym moim problemem były lęki. Od dzieciństwa czułem bardzo silny brak miłości ojca, jego uczuć, zdecydowania, rad i obecności. Gubiłem się we wszystkich rzeczach wymagających zdecydowanego działania. To rodziło wiele niepewności, lęków, poczucie coraz większego osamotnienia.

Oczywiście, na zewnątrz nie dawałem nawet poznać po sobie, co nosiłem w środku. Nakładałem maski. W domu udawałem, że wszystko jest w najlepszym porządku, że nie mam żadnych problemów. Rodzice byli pewni, że byłem świetny w szkole, że szedłem prostą drogą do celu, że przyszłość układa się przede mną dokładnie, jak w filmie czy w bajce. Oni byli tego pewni!

W szkole byłem przemądrzałym uczniem, który znał się najlepiej na wszystkim, najlepszym, gwiazdą i "the best". Specjalną maskę zakładałem w obecności dziewczyn. Przebywanie z nimi nobilitowało mnie, starałem się zachowywać przed nimi tak, aby zwrócić na siebie ich uwagę. A kiedy udało mi się zbliżyć do którejś z dziewczyn,

odgrywałem zawsze rolę chłopaka czułego i dobrego. Po jakimś czasie spostrzegłem, że maski przyczepiały się do mnie jedna po drugiej, co sprawiało, że nie byłem sobą, brakowało mi szczerości i otwartości. Tak naprawdę, czułem lęk we wszystkich jego kolorach i odmianach: przed odpowiedzialnością, przed osądem drugich, lęk przed tym, że odkryję, kim naprawdę jestem.

Takie były skutki mojego życia bez Boga - ciemności ducha, które powoli ogarniały coraz większą część mojej osoby. W ten sposób rozpoczynał się najtragiczniejszy i najbardziej mroczny okres mojego życia.

W trzeciej klasie liceum pojawiły się problemy w szkole, po prostu z lenistwa nie chciało mi się uczyć. Trzecią klasę musiałem powtarzać trzy razy. W sumie, dopiero po sześciu latach zdałem maturę, będąc już narkomanem. Pamiętam, jak po niepowodzeniach w szkole spotykałem się z przyjaciółmi, którzy mieli podobne problemy, z reguły była to dziewiąta lub dziesiąta godzina wieczorem. Zwykle jechaliśmy na plażę na gdańskich Stogach, dokąd było najbliżej. Tam po raz pierwszy wypłem sporo alkoholu, również wtedy ktoś dał mi pierwszego jointa. Po raz pierwszy nie wróciłem na noc do domu. Innym razem ktoś poczęstował mnie LSD lub podzielił się porcją halucynogennych grzybów, ktoś inny podał mi strzykawkę z heroiną. Zacząłem wtedy pełnymi garściami korzystać z tego, co oferowali mi starsi koledzy. Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Wydawało mi się to wtedy proste, trzeba iść na maxa i używać, ile się da, życia i przyjemności.

Pamiętam jedno zdarzenie z tego okresu, które utkwilo mi w pamięci na zawsze. Na plaży bawiliśmy się bumerangiem. Rzucaliśmy go daleko nad wodę i on zawsze wracał. Z rozdziawionymi ustami gapiłem się, jak dobiegał do punktu, gdzie wyżej już nie mógł się wznieść, zawisał na chwilę w powietrzu i wracał tą samą drogą z powrotem sunąc nad falami, i często znikał z oczu. Nie sposób było dojrzeć jego płaskiego kształtu, który niespodziewanie pojawiał się przed tobą i przelatował na wyciągnięcie ręki. Najlepiej było w takim momencie rzucić się na piasek i poczekać, aż przeleci. Któregoś razu, rzucony bardzo mocno, zniknął mi z oczu, i zaraz potem trafił mnie w głowę tak, że straciłem przytomność. Był bardzo twardy. Zdziwiony byłem bardzo, że taki kawałek drewna może być tak groźny dla tego, który rzuca.

Wydawało mi się wtedy, że narkotyki sadła mnie najlepszym rozwiązaniem moich problemów, ponieważ dają chwilową przyjemność i zapomnienie. Początkowo, dzięki narkotykom czułem się swobodny i bezpieczny w sytuacjach, w których nigdy taki nie byłem. Łudziłem się, że mogę w ten sposób rozwiązać wszystkie swoje problemy i trudności. Po wzięciu narkotyków było odłotowo, gorzej było potem, gdy przestały działać. W przeciągu jednego roku stałem się narkomanem uzależnionym od heroiny. Na początku nawet się tym nie przejąłem, że jestem uzależniony. Kiedy przychodziły momenty kryzysowe, potrafiłem na jakiś okres przestać i żyć dalej, na pozór normalnie w rodzinie, w szkole, z dziewczyną, z przyjaciółmi. Znajdowałem jeszcze dość siły na sport i moje hobby - film. Ale w miarę upływu czasu, wszystkie moje myśli nieustannie dążyły tylko do jednego - za wszelką cenę muszę mieć heroinę. To właśnie ona stała się najważniejsza w moim życiu. Powoli, krok za krokiem, oddawałem jej wszystko, co miałem. Zaczęła ze mnie wysysać całe dobro, radość, szczęście i życie. Dla zdobycia narkotyku wydawałem wszystkie zarobione pieniądze, potem zaczynałem kłamać coraz więcej i więcej, aby zdobyć pieniądze na narkotyk, dopuszczałem się kradzieży, oszukiwałem bliskich, stawiałem na pierwszym miejscu tylko mój a potrzebę zdobycia narkotyku. Stałem się niesamowitym egoistą. Na każdą przyjaźń patrzyłem interesownie, co ja z tego będę miał, jakie może mi to przynieść korzyści.

Pojawiały się wtedy we mnie bardzo silnie uczucia zazdrości, zawiści, zaczynałem nienawidzić drugich nawet za to, że mieli coś, czego ja nie miałem. Czułem, że staję się wrogiem każdego. Rodzice nieraz mi wtedy powtarzali, że źle mi z oczu patrzy albo, że

diabeł wstał we mnie. Kiedy mnie o coś pytali, patrzyłem tylko nieufnie, ze strachem, że znów odkryją kolejny mój grzech, a wtedy byłem gotów gryźć i szarpać. Przy tym, stałem się tak znerwicowany, że dostawałem drgawek mięśni i tików nerwowych. Kiedy byłem sam, opanowywało mnie uczucie nieograniczonego smutku, rozpacz i braku nadziei. Próbowaliśmy wtedy zbliżyć się do kogoś, znaleźć dziewczynę, być z kimś blisko, ale to nie wychodziło, bo w sercu nie miałem ani krzty miłości. Wszyscy byli zdumieni moją zmianą, żadna dziewczyna nie była w stanie ze mną wytrzymać, bo nie znajdowała we mnie miłości, spokoju i oparcia.

To było bezpośrednio zetknięcie się z tajemnicą zła. Doświadczyłem go realnie i rzeczywiście, stałem się jego niewolnikiem, nosiłem je w sercu, i tylko zło widziałem wokół siebie. Całe życie straciło sens, stało się puste, głuche, ślepe i przeraźliwie smutne. Czuję straszny ciężar i ból żyjąc bez wiary, nadziei i miłości. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek z tego się wydostanę, że przebiję się do świata ludzi szczęśliwych, radosnych, pogodnych, kochających, życzących sobie nawzajem dobrze. W tym przerażającym zniewoleniu przez narkotyki żyłem przez dziewięć lat. Było coraz ciemniej, coraz gorzej, powoli zbliżałem się do śmierci. Gdy otarłem się o śmierć, czułem, jakbym żegnał wszystkich i odchodził długą, prostą drogą przez puste pola i od czasu do czasu oglądał się za siebie. I wtedy przychodziła odrobina życzliwości dla tego świata. Było to strasznie przygnębiające - być samemu, zupełnie samemu, bez żadnego głosu, który mówiłby do ciebie, czy oczu, które by na ciebie patrzyły, ręki do ciebie wyciągniętej.

Moi rodzice, kiedy odkryli, że jestem narkomanem, doświadczyli również wielkiego cierpienia. Widzieli, że zło, które tkwiło we mnie było tak silne, że nie mogli zrobić z nim właściwie nic, byli bezradni i rozpaczni. Cierpieli szczególnie, kiedy widzieli mnie ze strzykawką w ręku, padającego nad wanną, po której spływały strużki i krople krwi, które bezradnie i bezskutecznie, półprzytomny, próbowałem zmyć. Cierpieli, kiedy po kolejnych próbach skończenia z nałogiem, wciąż na nowo zaczynałem brać heroinę, za każdym razem pogrążając się coraz głębiej, a oni byli bezsilni, ponieważ nie mogli w żaden sposób, wyrwać mnie z tej przerażającej niewoli.

Rodzice doświadczyli wstydu przed sądem drugich, ukrywali przed znajomymi, że ich syn jest uzależniony od heroiny i można go czasami zobaczyć na dworcu kolejowym, na uliczkach Starówki, ślaniającego się na nogach i próbującego przejść przez jezdnię. W pewnym sensie cierpienie scaliło ich trochę. Podejmowali wspólne wysiłki, aby mi pomóc, próbowali zrobić coś razem! Przez długi czas nie dawało to żadnych rezultatów. Wtedy zaczęli się modlić.

Pewnego dnia pojawiła się propozycja terapii nieco innej od tych, które wielokrotnie, bezskutecznie próbowałem. Dość dziwna, bo rozpaczni rodzice zaproponowali mi pojechać do wspólnoty narkomanów "Cenacolo" w Medjugorje, gdzie, jak mi mówiono, od 1981 r. objawia się Matka Boża. Nie miałem żadnej chęci, aby tam wyjeżdżać. Jednak do wyjazdu zostałem właściwie zobligowany sytuacją bez wyjścia, w jakiej się znalazłem. Życie, którym żyłem, stało się tak ohydne, że zbliżającym się widmem śmierci, że coraz częściej przebijała się myśl, aby to przerwać i wyrwać się z tej niewoli tym razem naprawdę. Musiałem tylko znaleźć coś, co byłoby silniejsze od zła, które we mnie było obecne, które wracało jak bumerang rzucony kiedyś przez mnie na plaży. Próbowaliśmy je odrzucić, ale wracało do mnie nieustannie i gotowe było śmiertelnie rozbić mi głowę.

O wspólnotę "Cenacolo" w Medjugorje nie wiedziałem praktycznie nic. Słyszałem tylko, że tam się dużo modli, pracuje, i piecze własny chleb. Kiedy znalazłem się w Medjugorje, siostra Elwira (założycielka tej wspólnoty) podczas pierwszej rozmowy, właściwie nie pytała mnie o nic. Przygarnęła mnie tak prosto z ulicy, nie chciała nic. Byłem wtedy w opłakanym stanie, wyczerpany, bezsilny, czułem się jak bezradne dziecko. W jej uważnym, ostrym spojrzeniu widziałem, że ona wie wszystko i nie ma sensu już więcej ukrywać swoich słabości. Co w jej postawie uderza, to przede wszystkim

oczy, tak pełne miłości i światła, że miękną pod tobą nogi, ale również ostre jak laser i nie warto przed nią nic ukrywać.

Dopiero po pewnym czasie w pełni sobie uświadomiłem, że jestem we wspólnocie narkomanów, gdzie do leczenia narkomanii nie stosuje się żadnych środków farmakologicznych, lecz jedynym lekarstwem jest miłość Jezusa. Cała wspólnota przyjęła mnie takiego, jakim byłem, i w zamian za zło i bezradność, które z sobą przyniosłem, oferowała mi sposoby walki o moje dobro, o moje szczęście i mój pokój. Na początku było bardzo ciężko zaakceptować każdy dzień. Ciężko jest zaczynać od początku, a musiałem zacząć budować siebie od zera. Czułem się jak bezradne dziecko, niezdolne do niczego. W dodatku na samym początku brak narkotyków sprawiał mi cierpienie nie do wytrzymania. Wcześniej żyłem w świecie, w którym były narkotyki, muzyka, film, alkohol, telewizja, seks, papierosy, gazety. Kiedy znalazłem się we wspólnocie w Medjugorje, zostałem pozbawiony tego wszystkiego, czym dotychczas żyłem. Był to dla mnie ogromny szok. Odczuwałem niezwykle boleśnie brak tych rzeczy, które do tej pory były główną treścią mojego życia. Korzystałem z nich, one wypełniały mi dzień, z nich było skonstruowane moje życie, a tu nagle zostałem ich wszystkich pozbawiony. Dla każdego narkomana, pierwsze miesiące życia we wspólnocie są niezwykle trudne do zaakceptowania. Nie ma tu telewizji, radia, gazet, nie można wychodzić na zewnątrz bez specjalnego pozwolenia, nie można w ogóle palić papierosów i pić alkoholu, w tym również piwa. Przez pierwsze 8 miesięcy nie wolno utrzymywać żadnego kontaktu z rodzicami i przyjaciółmi. Regulamin dnia jest wymagający. Dużo jest modlitwy i ciężkiej fizycznej pracy.

Na początku czułem się obco i nieswojo pośród uśmiechniętych i radosnych kolegów, którzy byli starsi stażem pobytu. Dzielił mnie od nich mur nieufności. Nie mogłem ścierpieć ich radości życia, wydawało mi się to nienormalne. Przede wszystkim nużyła mnie modlitwa, często spałem podczas niej, w pracy nie mogłem się skupić. Podczas posiłków milczałem, nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Każdy nowoprzybyły otrzymuje opiekuna, tak zwanego "anioła stróża", który nie odstępował na krok swojego podopiecznego. Moim "aniołem" był chłopak z Włoch, który towarzyszył mi wszędzie i był bardzo stanowczy, dzięki temu pomógł mi przetrwać najbardziej kryzysowe momenty. Codziennie wszyscy na kolanach odmawiamy w naszej kaplicy trzy części różańca. Dniem i nocą wystawiony jest Najświętszy Sakrament. W ciągu dnia dla każdego są wyznaczone godziny adoracji, a w nocy przychodzą tylko ci, którzy dobrowolnie się zgłoszą. Pewnego dnia, po wyczerpującej pracy w kamieniołomach, klęczałem w kaplicy przed Chrystusem obecnym w Najświętszym Sakramencie, wtedy po raz pierwszy w życiu z wielką ufnością otworzyłem przed Nim moje poranione i zniewolone wnętrze. Poszedłem do spowiedzi i wyznałem Jezusowi wszystkie moje grzechy. Był to przełomowy moment mojego wyzwania się z niewoli narkomanii. Od tego czasu doświadczam w sobie nieustannej duchowej przemiany dzięki miłości Jezusa. To sam Jezus, swoją miłością, nieustannie leczy rany mojego serca, przez modlitwę i sakramenty oraz daje niesamowitą radość życia i wolność ducha. To, co wcześniej wydawało się niemożliwe, bo przecież wielokrotnie bezskutecznie poddawałem się leczeniu, stało się możliwe dzięki przyjęciu miłości Jezusa. Wiem, że moje leczenie tym jedynie w pełni skutecznym lekarstwem, powinno trwać aż do końca ziemskiego życia. Dlatego tutaj we wspólnocie uczę się samozaparcia i dyscypliny, przez solidną pracę i modlitwę. Każdego dnia staram się podczas pracy i modlitwy angażować na sto procent, wkładać całe serce w to, co w danej chwili robię, przebaczać wszystko wszystkim, prosić o przebaczenie tyle razy, ile zawiniłem. Staram się również oddawać potrzebującym swój czas, nawet jeśli to kosztuje mnie godzinę snu, lub grę w piłkę nożną.

Teraz nie wyobrażam sobie życia bez modlitwy, jest ona dla mnie tak konieczna do życia, jak jedzenie lub spanie. Bywają dni, kiedy na modlitwie Pan Jezus wydaje się być nieobecny, nie zniechęcam się tym jednak, ale wtedy tym bardziej ufam i oddaję siebie Jezusowi.

Jest to wspaniałe, że będąc tutaj, we wspólnocie w Medjugorje, mam możliwość stawania się coraz lepszym. Aby to się mogło dokonywać, konieczna jest codzienna walka o dobro, zmaganie się ze swoim egoizmem i różnymi słabościami. Ta droga dojrzewania do bycia dobrym człowiekiem nie kończy się nigdy, we wspólnocie i w życiu.

W ciągu dwuletniego pobytu we wspólnocie narkomanów "Cenacolo", przechodziłem przez wiele różnych etapów. Trzy rzeczy najcenniejsze (według mnie), jakich tutaj się nauczyłem, to: modlitwa i całkowite zaufanie Jezusowi; budowanie przyjaźni bez względu na trudności, które się pojawiają, np. problem językowy, różnicę wieku czy to, że ktoś wydaje mi się niesympatyczny, bo to są to przyjaciele prawdziwi. Trzecia rzecz, to miłość, którą nauczyłem się dawać innym. Dostaję ją od Boga codziennie, i codziennie staram się ją rozdzielać między drugich, a i tak pozostaje mi bardzo wiele w rękach i nie czuję, żeby brakowało mi tutaj czegokolwiek, choć i tak żyjemy dość prosto i surowo. "...Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie".

Dzisiaj, po wszystkich historiach, które tutaj przeżyłem, dziękuję siostrze Elwirze za to, że pokazała mi Jezusa, który wyciągnął mnie z niesamowitych ciemności, w których byłem pogrążony. Wcześniej żyłem w złym i dla zła, dzisiaj idę w stronę światła i dobra. Wcześniej żyłem przyjemnościami, dzisiaj wiem, by ogień szczęścia palił się we mnie codziennie, nie trzeba dużo. Tymi małymi drewnkami, które dają ten płomień, jest przede wszystkim modlitwa oraz Jezus obecny w Eucharystii, a także wspólna praca, rozmowa, śmiech, gesty przyjaźni, życzenie dobra drugim. Czuję, że Jezus ponownie dał mi życie, dokonał mojego zmartwychwstania i codziennie dziękuję Mu za to. Wierzę, że ten "bumerang zła i narkomanii", tym razem już nie wróci, bo dzięki wierze w Jezusa znalazłem tyle siły, aby dokonać rzeczy niemożliwej - odrzuciłem go na zawsze.